

Ilu możemy przyjąć?



Pojawiły się informacje sugerujące, że premier Kopacz zgodziła się w Brukseli na przyjęcie przez Polskę 100 tysięcy imigrantów. Wydaje się to dużo, ale oczywiście takie pojęcia jak “dużo”, czy “mało”, albo “w sam raz” są na tyle względne, że nie znaczą nic. Lepiej odnieść się do czegoś, co znamy i oceniać na jakichś przykładach.

Czego chcemy i powinniśmy (moim zdaniem) uniknąć? Odkładając na bok wszelkie brednie o multikulti, “ubogacaniu kulturowym” i inne tego typu banialuki powinniśmy wyciągnąć wnioski z obserwacji świata, który nas otacza.

1. Myślę, że powinniśmy dbać o spójność etniczną Polski. To prawda, że sytuacja Polski po II Wojnie Światowej jest wyjątkowa, bo nigdy przedtem w historii Rzeczpospolita nie była tak spójna narodowościowo, ale chyba ta wyjątkowość wyszła nam na dobre. W trudnych czasach dość gwałtownych przemian uchroniła nas przed gwałtownymi pęknięciami, takimi jak miały miejsce w Jugosławii czy na Ukrainie. Bo raczej nie ma wątpliwości, że sąsiadujące z nami mocarstwa wykorzystywałyby napięcia narodowościowe gdyby w Polsce mieszkaly znaczące mniejszości na wschodzie, czy na zachodzie. Podział Polski nie odbyłby się wówczas raczej tak łagodnie, jak w Czechosłowacji.
2. Myślę, że nie powinniśmy dopuścić do tworzenia się gett prowadzących ostatecznie do powstawania części terytorium państwa wydzielonych spod jego suwerenności. Nie potrzeba chyba wyjaśniać do jak poważnych napięć społecznych może to prowadzić. Obcy mieszkający w jednym, wydzielonym miejscu, czujący i pielęgnowający swoją obcość to idealna pożywka dla wszelkich konfliktów etnicznych. Mamy tego przykłady obecnie na Zachodzie, sami mieliśmy z tym problemy szczególnie w odniesieniu do ludności żydowskiej przed wojną.
3. Myślę, że powinniśmy dbać o naszą kulturę, która też może być zagrożona nadmierną liczbą obcych. Niezwykle wyraźnie widać ten problem we Francji, którą obserwuję z bliska od ponad trzydziestu lat. Widać go oczywiście najbardziej w wymiarze popkultury, ale zmiany są tak gwałtowne że aż jest to zdumiewające. Na początku lat 80 francuska muzyka popularna obecna w radio francuskim była “zwyczajna” – Joe Dassin, Michel Sardou, Johnny Halliday, Sylvie Vartan, Mireille Mathieu oraz cała plejada innych, których w Polsce nikt nie zna i o których nikt nie słyszał, ale śpiewających po francusku, przy europejskiej muzyce. Dzisiejsza lista przebojów pełna jest arabskich rytmów i to one zaczynają powoli nadawać ton francuskiej muzyce popularnej. Zagrożenie dla naszej kultury JEST realne, tak jak jest realne wszędzie indziej poprzez napływ obcej “świeżej krwi”.

Te trzy powyższe punkty wydają mi się najważniejsze przy rozważaniu kwestii liczby obcych, których możemy “bezboleśnie” przyjąć w Polsce. Bezboleśnie, to znaczy tak, by nie naruszyli oni struktur społecznych, a dla naszej kultury byli ciekawym dodatkiem, a nie konkurencją.

W powojennej historii Polski mieliśmy już do czynienia z falami imigracji. Najpierw wewnętrznej – w wyniku akcji Wisła przesiedlono ze wschodnich terenów Polski na jej północne i zachodnie tereny ok 150 tysięcy osób: Ukraińców, Łemków, Bojków i Dolinian. Grupy te, ze względu na stosunkowo duże rozsianie, ale również ze względu na znaczną bliskość kulturową (a dla wielu wręcz tożsamość) z

Polakami, spolonizowały się całkowicie w ciągu dwóch pokoleń tracąc praktycznie całą swoją odrębność. Pozostałością po nich są jeszcze obecne gdzieś na Mazurach i na północnym zachodzie Polski parafie unickie.

Kolejną falą imigrantów, którą przyjęliśmy w Polsce byli Grecy, którzy przybyli do Polski w 1949 roku. Było ich ok 15 tysięcy i w całości się spolonizowali nie zagrażając spójności etnicznej, nie tworząc gett i nie wywierając znaczącego wpływu na naszą kulturę... Choć być może warto przypomnieć, że to właśnie po przybyciu Greków do Polski pojawiło się popularne niegdyś powiedzenie "Nie udawaj Greka", które oznacza "nie udawaj, że nie rozumiesz", jako że Grecy przybywający do Polski raczej po polsku nie mówili. No więc niech będzie - wpływ kulturowy jest!

Po Grekach przybyli do nas Chilijczycy po zamachu stanu Pinocheta. Było ich kilka tysięcy, rozplynęli się w masie całkowicie. Pamiętam, jak siedziałem kiedyś na ławeczce na podwórku-studni przed kinem Polonia czekając na seans filmu z Busterem Keatonem (kiedyś Iluzjon Filmoteki Polskiej znajdował się w Kinie Polonia na Marszałkowskiej) i patrzyłem na bawiące się obok dzieci, wśród których był jeden Murzynek. Niesamowite wrażenie zrobiło na mnie jak zawołał w którymś momencie: "...a jak powiem mojemu tacie to przyjdzie i ci nogi z dupy powyrywa!". Wtedy widok kolorowego dziecka mówiącego czystą polszczyzną był jeszcze czymś niezwykłym, a ogólnie za Murzynem na ulicy oglądano się (tak jak i za mną, chodzącym o kulach). To było prawdopodobnie dziecko któregoś z uchodźców z Chile. Nie ma dziś po nich śladu.

Kolejną falą kilkudziesięciu tysięcy imigrantów, którzy przybyli do Polski byli Czecczeńcy. Było wokół nich trochę zamieszania, ale znacząco mniej niż wokół Greków czy nawet Chilijczyków w swoim czasie - nikt nie robił Czecczeńcom specjalnie wielkiej reklamy w mediach. Mówi się o ok. 80 tysiącach. Czecczeńcy to dobry przykład "zagrożenia", jakie niosą nam imigranci, bo są całkowicie od nas odrębni kulturowo, z religią włącznie. Kto w ogóle dziś jeszcze pamięta Czecczeńców? Można ich czasami spotkać w okolicach biur Stowarzyszenia Wolnego Słowa w Warszawie przy Marszałkowskiej. Nie sprawiają wrażenia specjalnie zintegrowanych. Nie mówią po polsku, zdają się żyć w swoim środowisku jedynie - ale oczywiście nie wiem specjalnie więcej nic na ich temat. W każdym razie nie wydają się znacząco oddziaływać na Polskę ani dobrze, ani źle.

W mojej okolicy, w Warszawie na Pradze Południe, i jak zauważyłem na przykład na Ochocie są "kolonie" zamieszkałe przez Azjatów (chyba głównie Wietnamczyków, ale i Chińczyków chyba, jak również przedstawiciele innych narodowości z tamtej części świata). Zdaje się to być stosunkowo widoczna grupa (ze względu szczególnie na różnice związane z rasą), która choć najwyraźniej sprawiała swego czasu stosunkowo często problemy organom ścigania, to jednak nie wydaje się nam w jakikolwiek sposób zagrażać. Jest to najwyraźniej mało spójna (szczególnie ze względu na różnice narodowościowe) grupa imigrantów licząca kilkadziesiąt tysięcy osób. Z ich strony mogłoby pojawić się niebezpieczeństwo powstawania gett, ale jak na razie nie wydaje się by taka sytuacja miała miejsce. Kiedyś w Parku Szcześliwickim widziałem dwóch chłopców, Azjatów, którzy rozmawiali ze sobą czystą polszczyzną, a kilka kroków za nimi szli ich ojcowie rozmawiając w swoim języku (wietnamskim?) i co jakiś czas napominali swoich synów, najwyraźniej zmuszając ich od rozmawiania ze sobą nie po polsku, tylko po wietnamsku. Przypomniał mi się czas, gdy podobnie we Francji pilnowałem moje córki, by rozmawiały ze sobą po polsku... Tak więc asymilacja tych ludzi też ma miejsce.

Widać też na ulicach stosunkowo wielu Murzynów, którzy jednak, jak się wydaje, dość szybko się asymilują, nie mogąc oprzeć się pięknym, polskim dziewczynom. Mnóstwo par mieszanych widuje podczas spacerów w Parku Skaryszewskim - rozmawiają ze sobą po polsku. Nie wydaje się by tworzyli getta, sprawiają wrażenie raczej dążenia do szybkiego spolonizowania się. Ich dzieci o jasnoczekoladowej skórze będą już, jak się wydaje, w pełni Polakami.

W Polsce jest też prawdopodobnie ponad pół miliona Ukraińców i Rosjan. Słysząc ich na ulicy, w środkach komunikacji. Wydaje się, że taka liczba obcokrajowców może być już znacząca w kontekście problemów, jakie mogłyby się pojawić w przypadku napływu imigrantów.

Czy powinniśmy się więc obawiać kilku, kilkunastu czy nawet 100 tysięcy imigrantów z Bliskiego Wschodu? To chyba nie jest dobrze postawione pytanie, bo faktem jest, że się obawiamy. Wygląda na to, że większość Polaków się obawa. Raczej należy zapytać:

Czy słusznie obawiamy się imigrantów z Bliskiego Wschodu?

Odpowiedź na to pytanie jest uzależniona od tego, o kim mówimy. Sądzę, że doświadczenie pokazuje nam, że nie mamy zupełnie czego się obawiać, gdyby do Polski przybyło nawet i kilkanaście tysięcy rodzin uchodźców. I gdyby przybyli tu uciekając przed wojną czy prześladowaniami. Tacy ludzie mają zazwyczaj wystarczająco pokory, by być wdzięcznymi za to, że się ich przyjmuje. Problem w tym, że wiemy że to nie rodziny uciekające przed prześladowaniami stanowią przytłaczającą większość ludzi, którzy do nas zdążają. Zdążają do nas młodzi, sprawiający wrażenie agresywnych, ludzie, którzy nie wyglądają na uciekających przed jakimkolwiek zagrożeniem. Jeśli dodatkowo wśród nich są wyszkoleni terroryści – a wiele wskazuje na to, że są – to faktycznie myślę, że jest się czego bać.

GDYBY istniała realna możliwość oddzielenia uchodźców od agresywnych, niebezpiecznych kandydatów na terrorystów, to nie musielibyśmy się niczego obawiać. Nawet 100 tysięcy takich ludzi nie byłoby w stanie w żaden sposób nam zagrozić.

Tylko gdy się patrzy na tę falę, która do nas płynie, to uzasadnionym jest zadanie sobie pytania, czy wśród nich w ogóle znalazłoby się 100 tysięcy uchodźców. Bo tych, których widać w telewizji to znając skuteczność działania państwa w Polsce nie możemy przyjąć ani jednego.

Adam Pietrasiewicz

blogpublika.com

Solidarność
tygodniksolidarnosc.com

& blogpublika.com

